ORLI LOT

MIESIĘCZNIK
ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY
Cena 30 zł Cena 30 zł

Rok XXI Marzec — Kwiecień 1947 Nr 3—4



ADOLF DYGASIŃSKI
Według obrazu Jacka Malczewskiego.

STEFAN KOŁACZKOWSKI

Dygasiński jako krajoznawca.

Idąc kiedyś wąwozem w pobliżu Krzemieńca zrozumiałem nagle dlaczego lubię Dygasińskiego, dlaczego jego sposób patrzenia na przyrodę jest mi tak bliski. Rodzimym jego pejzażem była dolina Nidy i dolina Prądnika i ma on sposób patrzenia człowieka dolin. Ludzie wychowani w górach czy rozmiłowani w pejzażu górskim, a więc w wielkich perspektywach, kontrastach, zjawiskach niezwykłych, majestatycznych lub imponujących mają, jeśli się tak wolno wyrazić, arystokratyczny stosunek do przyrody. Zjawiska drobne, pospolite uchodzą ich uwagi.

Inaczej Dygasiński: on reagował równie żywo na wszystko, co go otaczało. Umie patrzeć na ziemię z perspektywy jastrzębia, bujającego w przestworzach, ale i z perspektywy zająca siedzącego w kotlinie. Szeroki przestwór zalany słońcem i mroczne wnętrze puszczy jednako są mu drogie. Tak jak w świecie ludzkim, tak i w świecie przyrody umiał dopatrzyć się indywidualności w istotach niepozornych, — wejść z nimi w bliski stosunek.

Stąd to skojarzenie obrazu, jaki przedstawia oczom idącego wąwozem — o czym wspomniałem na początku — z pejzażem najczęściej spotykanym w utworach naszego piewcy piękna przyrody.

Dygasińskiego predestynował na doskonałego krajoznawcę przede wszystkim umysł konkretny, zainteresowania konkretne i związana z tym zdolność wyróżniania indywidualności: »krajobrazy różnych okolic kraju mają jak ludzie swoją odrębną fizjonomię« — pisał. Dlatego też działalność jego miała coś odświeżającego i odprężającego po doktrynerstwie pierwszego okresu działalności warszawskich pozytywistów, kontrastowała szczególnie z intelektualistyczną retoryką Świętochowskiego.

Hasłu empiryzmu w nauce, które sobie stawiali ludzie jego epoki, odpowiadała w sztuce ta niespotykana u nas przed Dygasińskim konkretność i szczegółowość. Ona to sprawiała, że potrafił zwykłą łąkę nad strumieniem przedstawić jako świat kryjący nie mniejsze bogactwo czarów niż puszcza.

Zdolność niezwykle wyrazistego, nie pomijającego nic w polu widzenia, przedstawiania świata »drobnoustrojów« czyni również i czytelnika świadkiem czegoś widzianego z bliska, wprowadza go w intymny stosunek do zwierząt i roślin.

Wtedy, kiedy redakcja »Głosu« wystąpiła z hasłem walki »o życie plemienne, walki w której muszą wystąpić wszystkie rezerwy narodu«, Dygasiński, idąc w tym kierunku, pracę organiczną pojął bardziej po przyrodniczemu i głębiej. Przeniósł jednocześnie akcent z wartości gospodarczo-utylitarnych na plemienne, na związek człowieka z otoczeniem. Przez skrzętność i wnikliwość, przez coraz intymniejszy stosunek do środowiska rodzimego torował drogę mającemu niebawem nadejść intuicjonizmowi.

Te same cechy Dygasińskiego, o których mówiliśmy powyżej, w pełniejszym świetle ukażą się w zestawieniu z romantykami. Romantykom nie można ani w stosunku do przyrody, ani do wszystkiego, co rodzime, zarzucić jednostronności. Ale romantyków cechowała predylekcja do rzeczy wielkich w przyrodzie: góry, stepy, morze... Pewien antropocentryzm w stosunku do przyrody, traktowanie jej przeważnie jako zwierciadła ducha, predylekcja do wielkich koncepcyj historiozoficznych (rola Słowian np.) były znamiennymi cechami ich działalności.

Otóż Dygasiński nie przeciwstawia się tej wielkiej tradycji w dziedzinie krajoznawstwa, poczynającej się od Staszica i Karpińskiego, jest jej kontynuatorem, a jednak coś się zmienia.

Odrębność postawy Dygasińskiego krajoznawcy najlepiej da się wyrazić z pomocą analogii. Odpowiada ona daleko idącej demokratyzacji tematów w powieści i rezygnacji z humanistycznego egocentryzmu romantyków. W ten sposób Dygasiński, nie wyrzekając się postulatów wytkniętych przez poprzedników, pomnaża zakres badań. I o tyle jest wszechstronniejszy. Nie ma już przedmiotów godnych i mniej godnych. Znika zupełnie patos dystansu: wszystko, co jest rodzime, jest jednako godne poznania. Nie trzeba szukać żadnych dziwów świata, gdy można je odkryć wśród najbliższego otoczenia.

Dygasiński staje się pionierem egotyzmu... swojskiego. Dlatego też pisze polskiego Robinsona. Wielostronność zainteresowań Dygasińskiego jako krajoznawcy pozostaje w związku z zasadą łączności w nauczaniu. Obojętne, świadomy czy nieświadomy był ten związek, gdyż i działalność pisarska, i metoda pedagogiczna wynikały z osobowości i poglądu na świat Dygasińskiego, nie były czymś przyjętym tylko od kogoś »na wiarę«. To samo, co Prus mówił o programach politycznych, że nie można ich wymyślić, tylko można je odkryć, mówi Dygasiński o pedagogice: »metody wychowawczej oraz środków nikt nie jest w stanie wymyślić, one już są gotowe, należy je tylko spostrzec i stosować«. Otóż tę »gotową«, podsuniętą przez życie samo metodę łączności stosował w krajoznawstwie. Słusznie pisze Wasilewski, że Dygasiński nie pisał jak specjalista od tego lub innego przedmiotu. Nie pisał też artykułów z tego lub innego działu krajoznawstwa. Słynna swego czasu lekcja Dygasińskiego »o kanarku« — »pokazowa« jak byśmy się dziś wyrazili, bo zrealizował w niej Dygasiński w sposób uniwersalny zasadę łączności w nauczaniu, może nam wyjaśnić i »metodę« Dygasińskiego jako krajoznawcy. Już skromna powiastka pt. »Jarmark na św. Onufry«, w której Dygasiński potrąca o różne tematy. od dialektu począwszy, a skończywszy na obyczajowości, może nam służyć za przykład. Ale czytelnik »Ziemi« znajdzie pełne potwierdzenie naszej tezy choćby w kilkunastu opisach ruin zamków przez Dygasińskiego, pomieszczonych w numerach z 1911 i 1912 roku. Często zaczyna Dygasiński, jak w opisie ruin w Bobolicach, po poetycku: »Gaj krzewów ściele się u stóp zamku, który niby szkielet olbrzyma wyciąga ramiona, przybrane w zielone wieńce. Ptak trwożliwy, szukający samotności, leci tu zakładać gniazdo i pobyt swój ujawnia tylko pieśnią zaledwie słyszalną w dole«... Od opisu przechodzi Dygasiński nieznа-

cznie do epoki, z której zabytek pochodzi, aż do charakterystyki gleby, na jakiej go wzniesiono, lub roślinności charakterystycznej, która go otacza. Skojarzenia historyczne prowadzą go do legend związanych z zabytkiem, legendy — do obyczajów ludzi dzisiejszych, którzy je opowiadają. Ci nasuwają mu uwagi o języku, o pieśniach ludowych, od tych przechodzi do strojów lub ogólnych refleksyj etnologicznych. »Zasada łączności« w nauczaniu triumfuje w całej pełni, a gdzież jest ona bardziej na miejscu niż w krajoznawstwie? Wędrówki Robinsona polskiego czy Beldonka z Florkiem to też sui generis »metoda łączności« w nauczaniu czytelnika i łączą się nie tylko działy etnologii, ale sztuka z nauką. Bo też regionalizm w twórczości Dygasińskiego różni się od regionalizmu romantycznego większą dozą dyktatyzmu i większą dbałością o szczegóły. Rozszerza się też zakres władania artystycznego. Wiadomo przecież, że wprowadzając język ludowy do »Beldonka«, nie tylko nawrócił zgorszoną zrazu tą nowością Konopnicką. ale dał przykład Witkiewiczowi i Tetmajerowi.

Trudne warunki materialne nie pozwalały Dygasińskiemu na swobodne wędrówki po całym kraju. Nie jest on jednak ekskluzywnym piewcą okolic Prądnika czy Nidy. Prócz kielecczyzny opisywał radomskie i lubelskie (np. Krupe na drodze z Rejowca do Krasnegostawu). Opisywał Kazimierz i Janowiec nad Wisłą. Nęciły go — czego mamy również dowody w literaturze — i lasy nadnarwiańskie. Pobyt w Młynowie na Wołyniu, w Massolanach na Grodzieńszczyźnie, czy w Popowie pod Warszawą (bawił w tych miejscowościach w charakterze nauczyciela i wychowawcy) pozwolił mu na szczegółowe obserwacje fauny, flory i ludzi tamecznych.

Współpraca Dygasińskiego z Witkiewiczem w »Wędrowcu« należy do tych faktów historycznych, które mają znaczenie symboliczne. Bo działalność Dygasińskiego dopełnia naturalistyczne malarstwo owych czasów, i tylko w związku z nim Dygasiński może być całkowicie zrozumiany i oceniony. Ale ekspansja Witkiewicza musiała z natury rzeczy ograniczać innych współpracowników i kolidować z programem samego Dygasińskiego. Idea uniwersalnego krajoznawstwa zostałaby zrealizowana w »Wędrowcu«, gdyby zwyciężył projekt Dygasińskiego. Dlatego wyraziłem się kiedyś, że gdybyśmy mogli naprawiać historię, to Dygasiński powinien by zostać sam naczelnym redaktorem »Wędrowca«, bo to pismo najpełniej wyraziłoby jego indywidualność i kierunek jego dążności. Żałować też należy, że będąc redaktorem »Wisły«, nie wziął żywszego udziału jako współpracownik.

WŁADYSŁAW WOLERT

Ziemia i lud w twórczości A. Dygasińskiego.

Słowa Goethego, że dla poznania twórcy trzeba się udać do jego stron rodzinnych, są niezwykle trafne w zastosowaniu do Adolfa Dygasińskiego, który sam zresztą zdawał sobie najlepiej sprawę z tego, jak mocnymi węzły jest związany z krajem swego dzieciństwa.

Silne zespolenie z ziemią, z przyrodą, z krajobrazem, ludem i jego obyczajem — wywarło na duszy Dygasińskiego ślad niezatarty do tego stopnia, że ten czynnik geodynamiczny — jak się to dziś mówi, stanowił ukrytą i bodaj może najsilniejszą strunę w jego twórczości beletrystycznej. Trafnie i głęboko powiedział o nim Marian Massonius: »Z tej ziemi wyrósł, jak rośnie z niej dąb i świerk i brzoza: krążą po nim całym jej soki życiodajne, słyszy jej tajemne głosy, w najtajniejszych głębiach swego serca odczuwa poważny szum jej lasów i szerokie tchnienie jej łanów zbożnych... swoją ziemię, swoje niebo, swoje lasy, pola i wody zna do dna, do głębi, do wszystkich szczegółów«...

To biologiczne niemal związanie z naturą w jej całokształcie wycisnęło na twórczości Dygasińskiego wybitne znamię swojskości. W utworach jego, jak w zwierciadle, widać, że to nasz wróbel, którego opisuje, nasz również kundel hasa po naszych polach i miedzach, że to w naszym boru dzięcioł kuje w drzewo. Śledząc za wypadkami, opisanymi przez Dygasińskiego, mamy w oczach naszą wieś, i te nasze, takie a nie inne — polskie właśnie chałupy, z których tylko patrzeć wyjdzie Maryna czy Jagna albo jaki Maciek czy Wojtek.

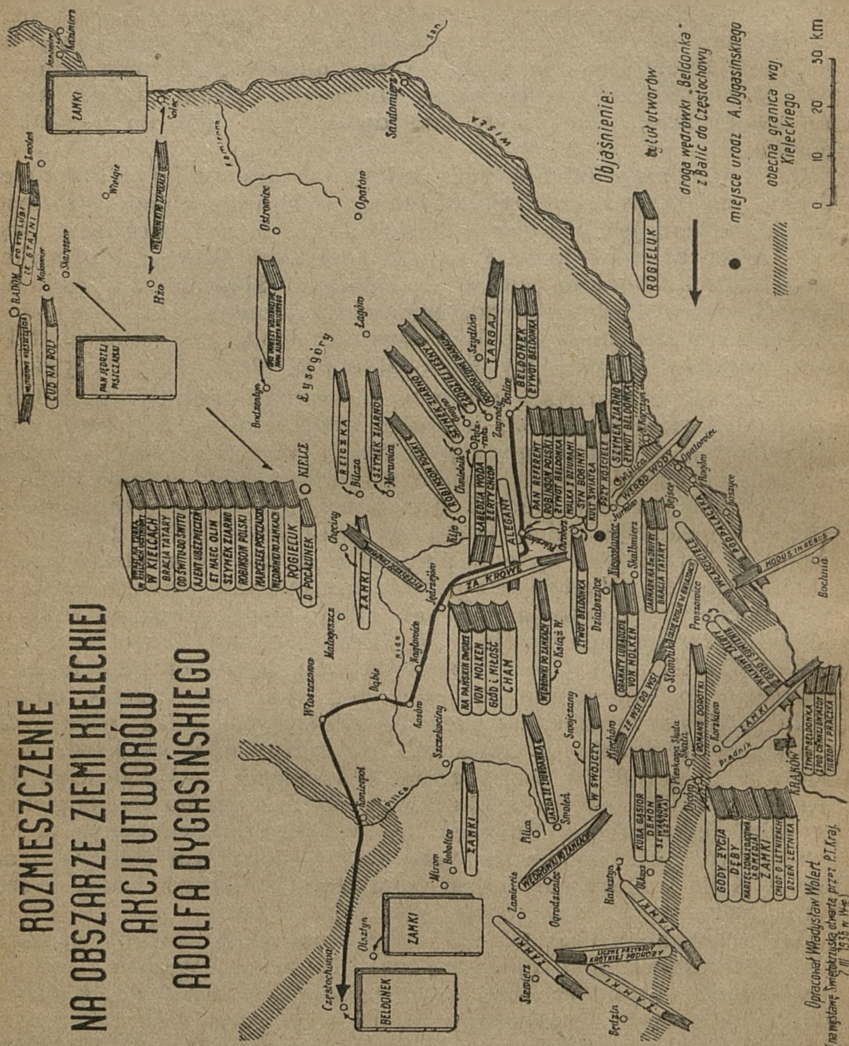
Mając lat czterdzieści cztery w pierwszym już utworze beletrystycznym (»Za krowę«, 1883) wyznaje: »Pięknym jest kraj cały, który przepasała wstęgą Nida, rwąca się do Wisły, jak córka w objęcia matki. I białe piaski porosłe niską sośniną, i laski brzozowe, i łany szumiące żytem i pszenicą, i białe góry, i zielone rozległe łąki z różnobarwnym kwieciem, i pastwiska zajęte latem od świtu przez konie, gęsi, bydło: wszystko to pozostaje wyryte w pamięci tego, kto się urodził i wychowywał na Ponidziu. Nigdzie tak pięknie nie śpiewają słowiki ani skowronki, nigdzie bzy nie mają woni tak miłej; nigdzie rankiem róża nie przyozdabia świata cudowniej«...

Żaden z naszych pisarzy beletrystycznych nie opisał tylu miast i miasteczek prowincjonalnych, tylu wsi, siół, pól i lasów co Dygasiński. Opisując, rozbudzał poczucie swojszczyzny. Jest więc swoistym pisarzem regionalnym. Poczucie swojskości miał we krwi, bo — jak powiada Alfred Kirchoff, geograf niemiecki — »człowiek jest prawem dzieckiem swego kraju, który kładzie piętno na najgłębszą nawet treść jego duszy«. Poczucie to w sposób świadomy przelał w swoją twórczość, stając się tym dla Polski, czym dla Szwajcarii Gottfryd Keller, który rozbudzał zamiłowanie swego kraju wśród rodaków.

W utworach Dygasińskiego czuć głos ziemi, bo »z tej ziemi wyrósł, jak rośnie z niej dąb, i świerk, i brzoza«... Wyrósł z żywiołu natury. I dlatego tak wyraźnie zaznaczyła się w nim rasa. I właśnie rasa była tą potęgą emocjonalną, która wyłoniła z siebie okaz określonej natury duchowej. Mając poczucie swojskości we krwi, jako rzecz naturalną, wyrósł poza ramy pisarza regionalnego i stał się twórcą ogólno-narodowym, bo jest pisarzem rdzennie, typowo polskim. Marian Massonius w swoim głębokim studium o Dygasińskim pisze: »W Polsce naturalizm jako fakt jest równie dawny, jak sama polska poezja artystyczna.. jest on jedynym właściwym, przyrodzonym polskiej,

a przynajmniej lackiej, twórczości artystycznej kierunkiem... Dygasiński należy do tej samej rodziny, co Rej, Kochanowski, Sarbiewski, Klonowicz, Sęp-Szarzyński, Samuel Twardowski«..[1]).

Przez jego twórczość płynie tajemny nurt polskiego ducha, który



swe soki życiodajne czerpie z tej samej ziemi. I dlatego twórczość Dygasińskiego jest tak rdzennie polska, że »gdy go czytasz, zdaje

[1]) Adolf Dygasiński, »Wędrowiec«, Nr 24 i 25, rok 1902.

się nieraz, jakobyś widział i słyszał poważnego Lacha, którego życie nie płynie w gorączkowym tempie«... Dla niektórych umysłów zmanierowanych przez snobizm kosmopolityczny, twórczość Dygasińskiego jest egzotyczna. Ale dla nich równie egzotyczna będzie twórczość Fredry i Trembeckiego czy Krasickiego, co więcej — dla nich i Polska będzie egzotyczna. Autor noweli »Przy kościele« czuł się prawym dzieckiem swej Ojczyzny, bo — jak napisał w jednym z listów do córki — »ziemię kocha się po synowsku«. Twórczość jego czerpała natchnienie z ziemi, z rodzimego krajobrazu, z ludu. W jego utworach beletrystycznych spotykamy krajobraz ziemi siedleckiej (»Z psiarni, pola i kniei«), Grodzieńszczyzny (»Zając«) czy mazowiecki (»Wilk, psy i ludzie«, »Lis«), wołyński (»Przyjaciel koni«), radomski (»Pan Jędrzej Piszczalski«), Ale najwyrazistszy, najmocniej, najbarwniej zarysowany jest — mazowiecki, a przede wszystkim krajobraz Ponidzia.

Urodzony w Niegosławicach, niedaleko Wiślicy, poznał dobrze kraj rodzinny już w czasach swej młodości. Ojciec zmieniał posady, a chłopiec wędrował ze dworu, do dworu, na całej przestrzeni najurodzajniejszej ziemi w Małopolsce (ale nie tej dzisiejszej — administracyjnej!) między Szreniawą, Nidzicą i Nidą, gdzie ziemia dwa razy rodzi. Z dawnych lat przechowało się przysłowie o rodzinnej ziemi Dygasińskiego: »Kto ma Bejsce, Podolany — ten się liczy między pany; kto ma Chroberz i Szaniec, może iść z królową w taniec«.

*

* *

Dygasiński miał w naturze pociąg do wędrówki i w sposób naturalny wyrwie mu się okrzyk: »Szczęśliwy, kto z kijem wędrownym przebiega ziemię!« Jest to przecie zawołanie każdego urodzonego krajoznawcy. Wielu z bohaterów jego utworów wędruje po ziemi małopolskiej, ze wsi do wsi, docierając nieraz do stolicy kraju, jak Szymek Ziarno czy Robinson Polski. Typ wędrownika jest jednak najklasyczniej przedstawiony w »Beldonku«, który z dziadem odpustowym przemierza Ponidzie ze wschodu na zachód, od Balic do Częstochowy.

Nie tylko bohaterzy jego utworów, on sam korzysta z każdej okazji wędrówki po kraju. Jedna z pierwszych bodaj jego korespondencji — to wydrukowane w »Nowinach« 1878, nr 43 wrażenia z podróży: »Z nad Nidy i Skalbmierza«. Z Kielc przez Morawicę na Kije, Dębiany, zawadziwszy o Szaniec, zmierza do Pińczowa, skąd przeprawiwszy się za Nidę i odwiedziwszy Chroberz — udał się do Skalbmierza, który w nocy opuściwszy — przez Sancygniów na Miechów wędrował dalej. Opis wędrówki swej zakończył w dzienniku uwagą: »W ogóle patrząc na zasobność i dostatek jednych, na ubóstwo przykre z nędzą graniczące drugich majątków rolnych przychodzi się zawsze do tego, jak świat starego poglądu, że bogactwo leży w ziemi wielkie, a wszędzie gdzie go nie widać na wierzchu, to tylko dzięki nieudolnym rękom, które go zdobyć nie umieją«...

Sympatię jego pozyska Ojców, któremu poświęci wiele uwagi najpierw w artykułach publicystycznych (np.: Ojców, Z wycieczki po

kraju, W Ojcowie jest dobrze, Zamek ojcowski), drukowanych w »Kurierze Warszawskim«, poczynając od roku 1884. Co więcej, akcja niektórych utworów beletrystycznych, np. »Demona«, bądź »Narzeczonej z Ojcowa« dzieje się właśnie w tym uroczym zakątku nad Prądnikiem. A tło zjawiskowe »Godów życia«, ostatniego utworu, pomieści też — w Ojcowie.

To zespolenie twórczości z określonym krajobrazem, ta niemal ciągłość w czerpaniu soków dla swego ducha z ziemi, jest dowodem, że przyroda ojczysta była dlań niezbędną, powiedzieć można, witaminą, bez której nie mógłby nie tylko tworzyć, lecz po prostu żyć.

W liście do córki pisze z Petersburga: »...Tam daleko śmieje się do mnie ziemia małopolska Czuję, że człowiek jest niewolnikiem swej Ojczyzny«. A jak pojmował to »niewolnictwo«, sam o tym mówi w noweli »Przy kościele«: »Podobno cuda są nad Tybrem, Sekwaną, Renem; podobno szczęście do ludzi śmieje się tam z nieba, z ziemi. Ale są tacy, którym Ojczyzna szeroki świat zamknęła, którzy nawet poprzez łzy swoje w niej tylko szczęście dla siebie znajdują. Ci tęsknią za rodzinną wierzbą, za sosną, za dziką gruszą na miedzy, za krzyżem znad drogi. Tacy bogate winnice świata oddaliby za jedną piędź ziemi zarosłej wikliną, dla takich kurne, lepione chaty, z ich jaskółkami i wróblami na Powislu, są droższe niż rycerskie kędyś zamki, a pieśń ludowa dzwoni i dzwoni w uszach i jeszcze na łożu śmierci jest dla nich sakramentem«.

*
* *

Mając taki stosunek do ziemi ojczystej, marzył Dygasiński, aby Polskę przedstawić krajobrazowo i etnograficznie. Gdy w roku 1883 Artur Gruszecki nosił się z zamiarami wydawniczymi, Dygasiński namawiał go, aby przejąć od Filipa Sulimierskiego upadającego »Wędrowca« i przekształcić pismo tak, żeby zobrazowało polski krajobraz [1]). Był więc Dygasiński prekursorem »Ziemi«. Witkiewicz z Sygietyńskim poprowadzili atoli pismo w innym kierunku.

To, co nurtowało w Dygasińskm przy zakładaniu »Wędrowca«, wyraziło się niedługo w artystycznym przedstawieniu ziemi ojczystej i ludu polskiego w nowelach, które począł drukować w roku 1884.

»Znamy lud z powiastek, plagiujących życie — pisał w »Chłopskiej zagrodzie« [2]) — z naśladowań mniej lub więcej udatnych wyrazów i zwrotów ludowych; zdaje nam się, że litościwe te okruchy rzucone życiu chłopa zaspokajają sumienie, że przecież zajmujemy się nareszcie i chatą. Tymczasem nad życiem chłopa wcale się nie pracuje naukowo jak się nigdy nie pracowało praktycznie... Przypatrzcie się codziennemu życiu jego, przyjrzyjcie się, jak on żyje w chwilach godowych i w czasach klęsk a upadku, wtenczas poznacie lepiej losy tych obywateli,

---

[1]) Szczegóły w tej sprawie patrz mój artykuł: Adolf Dygasiński i Stanisław Witkiewicz: »Wędrowiec« Pamiętnik Świętokrzyski. Kielce 1931.

[2]) Drukowane w »Kurierze Codziennym« 1885, nr 73, 110 i 136, przedruk w »Wiśle« 1905.

którym przez dziewięć wieków z górą, jakby dla ironii, opowiadano o równości wszystkich ludzi...

Wszystko się psuło. Pany to niemczeli, to się francuzili, łacińszczyli lub włoszczyli. Chłopa wiele wieków nie zdołało wykoleić z narodowego procesu nigdy. Język jego poszedł raz drogą rodzimą i w rodzimym kierunku. Co weszło weń cudziemczyzny, to się przetopiło na własność bez żadnych podszeptów purystów... Język literacki i ludowy można by przyrównać do dwóch sióstr, z których jedna wyszła za mąż za rodowca, druga je czarny chleb w chacie plebejusza... Poezja w tym języku nie wysoka, nie mistrzowska, lecz kto ma serce, dosłyszy w niej i płacz i radość... Jeżeli, czytelniku, nie masz nic lepszego do roboty, to pójdź ze mną do chłopskiej zagrody w ziemi krakowskiej Zapraszam cię szczerze. Nauczysz się języka, który jest twoim językiem, i poznasz zwyczaje twoich pra-przodków«.

W »Głosie«, który zaczął się ukazywać w roku 1886, Dygasiński jest reprezentantem i to od samego początku ludowości, wykwitłej z gruntu rodzimego, w oparciu o własną tradycję. J. L. Popławski bowiem był pod wpływem »narodniczestwa« i kilka lat upłynęło, zanim pozbył się tego rosyjskiego nalotu.

Oczywiste, iż Adolf Dygasiński rozumiał dobrze, że naukowe zajęcie się ludem jest także i narodowym interesem dla Polski, zwłaszcza w ówczesnej konstelacji politycznej i społecznej. Toteż Dygasiński niebawem założył »Wisłę«, miesięcznik geograficzno-etnograficzny.

Pierwszy zeszyt »Wisły« ukazał się w kwietniu 1887 roku. Pismo zainicjował i redagował Adolf Dygasiński, aczkolwiek Artur Gruszecki figurował jako redaktor i wydawca. Był rzeczywiście wydawcą, szczodrym wydawcą, albowiem jego księgarnia, nie szczędząc kosztów, podjęła wydawanie »Wisły« tak jak poprzednio »Wędrowca«.

Wiedząc, że Jan Karłowicz zbierał już przed r. 1876 materiały do językoznawstwa i ludoznawstwa polskiego i literatury, Dygasiński, organizując »Wisłę«, zwraca się doń i już w pierwszym zeszycie pisma zamieszcza artykuł Karłowicza o »Czarach i czarownicach w Polsce«, artykuł przysłany z Drezna.

Państwo Karłowiczowie latem roku 1887 opuścili Drezno, aby na stałe osiąść w Warszawie. Karłowicz był świetnie przygotowany w dziedzinie mitologii i etnografii, toteż Dygasiński zaraz na wstępie ofiarował mu redakcję »Wisły«, którą powołał do życia. Do końca roku »Wisła« wychodziła pod redakcją Dygasińskiego, pierwszy zeszyt z roku 1888 ukazał się w rozszerzonych przez Karłowicza rozmiarach, ale jeszcze nakładem Gruszeckiego. Następne zaś zeszyty »Wisły« wychodziły już pod kierunkiem literackim Karłowicza, nakładem księgarni M. Arcta przy wydatnej, jeśli nie wyłącznej pomocy finansowej samego redaktora.

Niespożytą zasługą Dygasińskiego jest, że »Wisłę« powołał do życia, zgromadził przy jej warsztacie pierwszy zastęp pracowników naukowych; drugą zaś wielką zasługą, że — zorganizowawszy ten warsztat — oddał kierownictwo nim w tak powołane do tego ręce. Kontakt z »Wisłą« musiał Dygasiński nadal utrzymywać, jak świadczy ustęp z listu Karłowicza do niego z dnia 19 marca 1892 roku: »We wtorek 12 bm. odbędzie się u mnie posiedzenie »Wiślan«, doroczne;

jakżeby dobrze było, żeby ojciec »Wisły« obecnością swą zaszczycił zgromadzenie nasze«.

*
* *

Nie przestając na zainteresowaniach krajoznawczych wyrażanych w tak różnorodnej formie, napisał Dygasiński jeszcze »Przewodnik do Ojcowa«, który miał wydać księgarz kielecki Leon.

O tym »Przewodniku« znajdujemy pierwszą informację w roku 1892. W jednym z listów do żony Dygasiński dopytuje, się czy są wiadomości z Kielc dotyczące »Przewodnika«, czy jest już wydany. Rzecz więc była bardzo aktualna. Z powodu wszakże przyczyn niezrozumiałych »Przewodnik« nie został wydany w tym czasie, a kwestia jego wydania wypłynęła ponownie w roku 1897. Jednak i wówczas nie ujrzał światła dziennego. Dlaczego?

-- Nie wiadomo. Na półkach księgarni Leona w Kielcach przeleżał lat 37, aż wreszcie w r. 1929 wpadł w ręce p. Arnoldowi Wilnerowi, który rękopis znaleziony przekazał p. Marianowi Toporowskiemu, redaktorowi pisma »Opinia«, ukazującego się w Kielcach.

Rękopis miał tytuł następujący:

»Przewodnik dla zwiedzających okolice gubernii kieleckiej(z ilustracjami) ułożył Adolf Dygasiński. Nakład i wydanie księgarni Leona i S-ki w Kielcach. W drukarni M. Żelichowskiego w Kielcach 1897«.

Z tego znalezionego rękopiśmiennego »Przewodnika» ukazały się w »Opinii« [1]) wyciągi: Pieskowa Skała, Zamek biskupi w Kielcach, Kielce, Okolice Kielc, Ojców.

Te wyciągi, jakie »Opinia« ogłosiła z »Przewodnika« są zapewne w różnych miejscach zniekształceniem rękopisu. A jak były inteligentne te skróty i dodatki, świadczy ten, w którym Dygasiński opisuje pomnik Staszica, wystawiony w Kielcach w roku 1906, a więc opisuje w cztery lata po swojej śmierci!

A co gorsza, że redaktor »Opinii« zagubił rękopis będący ciekawym, charakterystycznym przyczynkiem do krajoznawczych zainteresowań Adolfa Dygasińskiego.

*
* *

W roku 1895 rozpoczyna Dygasiński specjalne wędrówki po południowej połaci Królestwa, zwiedza zamki od Kazimierza do Ogrodzieńca i od Kielc do Ojcowa — tak licznie na tym obszarze kraju rozsiane. Owoc swoich studiów krajoznawczych ogłasza w »Kurierze Warszawskim«, jako wędrówki po zamkach w latach 1895 — 1899 [2]).

Opisując Kazimierz nad Wisłą powiada »Krajobrazy różnych okolic kraju mają, jak ludzie, swoją odrębną fizjonomię i przechowują się w pamięci człowieka podług pewnych wydatnie charakterystycznych rysów«.

To odczucie odrębności fizjonomii każdego krajobrazu jest rysem

---

1) Nr Nr 91, 102, 103, 128, 129, 131 z roku 1929.

2) Kilkanaście zamków przedrukowała »Ziemia«, w roku 1911/12.

charakterystycznym Dygasińskiego-krajoznawcy, więcej: krajobraz traktował jako cząstkę całej natury, jako coś odrębnego i żyjącego swoim samoistnym życiem. Tak zresztą traktował też jako beletrysta i — ludzi; nie przedstawiał typów szablonowych, lecz indywidualności, wyprzedził więc w beletrystyce współczesną nam psychologię różniczkową, indywidualną.

* * *

Niedługo przed zgonem odżyła w nim Wisła, ale w innej postaci. Zakończywszy druk Zamków, powziął Dygasiński myśl wędrówki z biegiem Wisły, poczynając od jej źródeł aż do Gdańska. Był to okres, kiedy skończył »Gody życia«, a już pisał poetycką niejako monografię dębów, do których czynił olbrzymie studia naukowe. Chciał napisać monografię rzeki — Wisły. Rozpoczął poszukiwania i studia teoretyczne. W papierach pozostałych, a dotyczących tej sprawy, znajduje się bibliografia, obejmująca 28, przeważnie niemieckich, dzieł o Wiśle [1]).

Z notat widoczne jest, że materiały zbierane dotyczyły wody, jej charakteru, ryb, rybaków, ich pracy, ich narzędzi, zwyczajów i obyczajów i tp. Np.: »Czólno długie na 18 łokci kosztuje 32 rb, sieć (niewód) z korą lipową 65 rb, za numer łodzi płaci się 18 zł p., a za miejsce na Wiśle 25 rb (Łomniki, Buraki, Młocin). Wisła ma wodę »bladą« i przerabia wody innych rzek. Narew ma wodę »czarną«, Bug — »czystą«, Pilica — »czerwoną«, San — »bladą«. Nie ma »praktyczniejszych« rybaków jak nad Wisłą, bo na stojącej wodzie (morzu), to bajki, dopiero na »bystrzu«, to sztuka. Leszcze trą się w maju, »w kącie dowolnej wody« i tp.«.

Wybierał się wyjechać na wiosnę roku 1902 do Gdańska, aby między innymi czynić poszukiwania i studia w tamtejszej bibliotece.

Niestety, w marcu rozchorował się ciężko, w czerwcu już nie żył.

Z monografii o Wiśle pozostał tylko nieuskuteczniony zamiar i trochę notat.

Przyroda polska i lud, przedstawiony w tak wielu utworach beletrystycznych jak bodaj u żadnego z naszych pisarzy; założenie »Wisły«, Przewodnik do Ojcowa, Zamki oraz nie napisana, niestety, rzecz o królowej naszych rzek — uwidoczniają nam Adolfa Dygasińskiego z zupełnie nowej strony, krajoznawczej.

[1]) Z polskich wymienimy Kolberga prace o Wiśle oraz o jej uspławnieniu w »Rocznikach gospodarstwa krajowego«, Zejsznera — »Podróż do źródeł Wisły«, Hoffa — »Początek Wisły i Wiślanie«, Blocha — »Dawne nasze porty«, E. Wasilewskiego; artykuły w »Przeglądzie Technicznym«, »Ekonomiście«, »Pamiętniku fizjograficznym«, »Sprawozdaniach komisji fizjograficznej« i tp.

GABRIEL LEŃCZYK

Na wycieczkach.

Pytali mię chłopcy w ciągu zimy, czy na wiosnę pójdę z nimi na całodzienne wycieczki. Dobrze — powiadam — ale musimy najpierw wyczerpać materiał naukowy. Zgodzili się. Do połowy maja byliśmy z materiałem gotowi, pozostawało 6 tygodni do dyspozycji.

Jeżeli w ciągu roku szkolnego ja »piłowałem« uczniów, to teraz oni »dawali mi szkołę«.

Bywało, przychodzę rano do szkoły, a tu moja klasa VII stoi w dwuszeregu na podwórzu, powitanie i drużynowy zgłasza: »Wszyscy obecni, trzydziestu dwóch. Wyznaczyliśmy na dziś zwiedzenie wąwozu w Mnikowie. Maszerujemy wzdłuż Rudawy, dalej przez Olszanicę, Zakamycze, Cholerzyn do Mnikowa, w wąwozie zrobimy najpierw ćwiczenie, potem pokaże nam Pan jaskinie, skały i wrócimy przez Czułów, Kaszów, Liszki i Kryspinów do Krakowa«.

— Zgoda, ale to tak na oko 40 km w obie strony, nie licząc łażenia po skałach i waszych ćwiczeń harcerskich.

— To nic, my i dłuższe wycieczki w ciągu dnia robimy...

Poszliśmy. Mały Przybyś ocierał mi boki i dopytywał się ustawicznie o jakieś historyczne szczegóły, a taki był zachłanny na wiadomości, że w klasie VII szkoły powszechnej uczył się historii z podręcznika Zakrzewskiego używanego w wyższych klasach gimnazjalnych. Był to rok 1913/14. Szkoła na Półwsiu Zwierzynieckim sąsiadowała wówczas z Błoniami. Pachniało wojną. Trudno było na lekcjach polskiego mówić o czymś innym jak o wojnie, więc też czytaliśmy z Trylogii Sienkiewicza opisy bitew, rysowali do nich mapki sytuacyjne, chłopcom paliły się oczy, bo z Błoń dolatywały krzyki polskiej komendy i odgłosy strzałów — to legioniści Piłsudskiego przygotowywali się do historycznego wystąpienia. W maju wojenne pogwarki nie ucichły, ale nastrój historyczny u moich chłopców trwał dalej. Bo to nie łatwo było należeć wówczas do harcerskiej drużyny. Efektownych dzisiejszych mundurków chłopcy nie mieli, ale za to nie wolno było mieć dwói na świadectwie, z języka polskiego i historii polskiej niższej noty jak dobrze, wymagali bezwzględnie utrzymania honoru klasy, a to pod grozą wykluczenia z drużyny i płynącymi stąd konsekwencjami w życiu codziennym. Więc nic dziwnego, że na wycieczkach utrzymywali porządek wzorowy, a w czasie marszu upływał czas na miłych i wartościowych pogadankach.

W Mnikowie należał się wypoczynek i posiłek. Przyjął nas gospodarz a zarazem drobny sklepikarz, na stole zjawił się bochen razowiaka, ser, masło, olbrzymie trzy gary kwaśnego mleka, wystarczające dla głodnej braci. — Lecz patrzę, przy stole brak Przybysia.

— Gdzie on jest?

— W ogrodzie, nie chce tu przyjść.

Wychodzę. Przybyś spaceruje wśród grząd i duma.

— Dlaczego nie idziesz jeść?

— Ja... nie mam pieniędzy,

— A jadłeś przynajmniej śniadanie? Masz jakie jedzenie ze sobą?

— ... Nie.

— Więc chodź! Ja zapłacę. Nie śmiesz mi odmówić.

Wróciliśmy do stołu. Bractwo po posiłku zaczęło śpiewać, a mieli tych piosenek 3 i 4 głosowych spory zapas. Zeszła się gromada ludzi pod oknami. Chcę płacić gospodarzowi, powiada, że to baba załatwi,

idę do gospodyni, a ona mówi: »To niech zapłaci pan ryńskiego, zeby chłop nie mruczoł, niby za masło, a ta reszta, to niech im wyjdzie na zdrowie za to piekne śpiwanie. Jescem tyz takich raków w Mnikowie nie widziała. Takim trza dać, bo bogate to to jak widze nie jest, a dobre«. I za »ryńskiego« czyli 2 przedwojenne złote mieli chłopacy obiad, a resztę zapłacili piosenkami.

Ćwiczeniami kierowali sami, ale ułowili w lesie dziewczęta zbierające borówki. Nuż im śpiewać, dośpiewywać, rozśmieszać, no i jakoś borówki z koszyków znalazły się w harcerskich przygarściach.

Zwiedziliśmy dwie jaskinie, w których archeolog Ossowski czynił poszukiwania za śladami praczłowieka, potem towarzystwo zasiadło na szczycie skalnego występu i słuchało wyjaśnień o powstawaniu skał wapiennych i takich wąwozów, jak mnikowski.

Na przeciwległej ścianie skalnej, po drugiej stronie potoka, widniała postać Matki Boskiej, malowana na skale przez Męcinę-Krzesza na pamiątkę gromadzenia się tu oddziałów Czachowskiego w r. 1863. Chłopcy po pogadance zbiegli ze skały i wnet ich zobaczyłem przed obrazem. Śpiewali »Z dymem pożarów«. Od zachodu nadciągała chmura, odezwał się grzmot i huczał echami wśród skał. Patrzyłem na tę gromadkę uczniów, słuchałem pieśni, której akompaniowała sama przyroda i dziwnie wilgotno było pod powiekami. Krótki deszczyk z bocznego skrzydła chmury nie popsuł nastroju, więc raźno w czwórkach ruszyliśmy gościńcem do Krakowa. Za Liszkami mijał nas staruszek siedzący na koniu, bosy i bez czapki. Porwany tempem marsza i śpiewem przypominał sobie widocznie dawne wojskowe czasy, bo sprężył się, zerwał grabie z ramienia i wedle wszelkich reguł salutował grabiami, niby szablą, maszerującą młodzież. Chłopcy, nie przerywając śpiewu, odpowiedzieli uniesieniem czapek i tak mijały się dwa pokolenia patrząc w oczy: stary Polak, ułan niegdyś cesarski, młodzi chłopcy krakusy, przyszli ułany Beliny i ja — ich łącznik.

Już po 10 wieczór byliśmy w Krakowie. Sądziłem, że na drugi dzień nikt do klasy nie przyjdzie po takim marszu. Nie — byli wszyscy i pogadanka o wczorajszych wrażeniach odbyła się na Błoniach. W dnie pochmurne i deszczowe omawialiśmy czytane książki i interesujące nas zagadnienia w klasie.

Przyszła i przeszła pierwsza wojna światowa. Wróciłem do szkoły powszechnej, ale nie wrócili moi chłopcy przedwojenni. Spotkałem nowych, innych i — jakże bardzo innych. Chciałem obudzić zżycie i wybraliśmy się na krótką próbną wycieczkę do Wilkowic, gdzie mieli zobaczyć jesienne prace rolne, zwiedzić ślady praczłowieka i na południe wrócić do Krakowa. Siłą mej woli szli w zwartej kolumnie gościńcem, a gdy znaleźli się już na bocznej drodze, pozwoliłem im na swobodny wyścig z metą na następnym pagórku. Z krzykiem rozpoczęli bieg, a gdy pierwsze gromadki znalazły się na miejscu, usłyszałem najpierw szczekanie psa, potem jego skowyt i wrzask baby kopiącej ziemniaki. Dobiegłem. Pies miał nogę skaleczoną kamieniem, baba z kopaczką wśród złorzeczeń biegła do chłopców. Załagodziłem awanturę doraźną karą winnego, ale opanowało mię przygnębienie.

Nie chciałem jednak poddać się zniechęceniu, poszliśmy jeszcze do Ojcowa. Jakoś marsz i nocleg przeszedł szczęśliwie, ale okazało się przy płaceniu za mleko na kolację, że ja sam z 15 l. wypiłem 7, które w rzeczywistości zmieściły się w jednym ćwierćlitrowym garnuszku. Nie było to gorsze od wyczynów Pana Twardowskiego, a bez czarów. Nie pomogło przygotowanie wycieczki. nie przemówiło do nich piękno krajobrazu, prócz zbytków, w rodzaju wrzucenia zdechłej ryby do skrzynki pocztowej, nie interesowało ich nic.

Biegły lata, zmieniała się młodzież szkolna, podejmowałem próby, rezultat zawsze był mniej więcej ten sam. Raz zaproponowałem wycieczkę do Tyńca ze zbiórką na Błoniach. Przynieśli ze sobą piłki, wobec tego powiedziałem, że kto chce grać, może zostać na Błoniach. Została część, reszta ruszyła ze mną ale — z piłkami w plecakach. Zapoznanie się z roślinnością wodną, wiśliskami, jako śladami zmian biegu rzeki, piaszczystymi usypiskami na wzgórzach, to wszystko budziło w nich zniecierpliwienie i rwali naprzód, by jak najprędzej na tynieckim pastwisku piłkę kopać. Pytałem kolegów-nauczycieli o ich wrażenia wycieczkowe — to samo. »Wolę 5 godzin w klasie niż jedną godzinę z taką bandą na polu«.

Ale nie wszędzie było tak źle. Oprowadzałem po Krakowie setki wycieczek szkolnych, przyjezdnych. Młodzież zachowywała się naogół wzorowo, chłonęła wiadomości i piękno Krakowa. Były wycieczki bajecznie przygotowane, były słabsze, ale nie było huliganów.

Przeszła druga wojna światowa. W okolicach Krakowa nie spotykałem wycieczek szkolnych, natomiast w prasie codziennej czytałem skargi i żale na zachowanie się młodzieży w Tatrach, a już szczególnie harcerzy. Tego zjawiska nie rozumię. Nie wiem, jak jest teraz w szkołach. Niechże o tem napiszą powołani, tak nauczyciele jak i uczniowie. Jeśli jest źle, musi się temu zaradzić, bo tu idzie o utrzymanie polskiej kultury na właściwym stopniu.

MARIAN GOTKIEWICZ

W Tatrach.

Wyjątek z dłuższego opisu wycieczki odbytej przed kilkunastu latami z młodzieżą Kółka Krajoznawczego jednej ze szkół powszechnych.

W ostatnim dniu wycieczki pogodę mieliśmy wymarzoną, nic więc dziwnego, że chłopcom rwały się serca ku szczytom. Przed wyruszeniem z Hali Gąsienicowej zatrzymaliśmy się jednak przez chwilę przed płaskorzeźbą Adama Asnyka, wmurowaną w ścianę schroniska P. T. T.

— Choćby nie było napisu poznałbym że to Asnyk, bo znam jego twarz z płaskorzeźby Hukana, umieszczonej na domu, w którym mieszkał poeta w Krakowie przy ul. Łobzowskiej, naprzeciw kościoła OO. Zmartwychwstańców: — rzekł Tomuś.

— Jest on autorem wielu poezyj opiewających Tatry — powiedziałem do uczniów — a w jednym wierszu opisuje taki sam cudowny ranek, jakim się dzisiaj cieszymy. Tomuś! znasz ten wierszyk? Jeżeli tak, to nam go powiedz, a my posłuchamy.

Chłopcy posiadali w słońcu i słuchali w skupieniu słów deklamacji kolegi, który recytował Asnykowski »Ranek w górach«:

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w słońcu płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole lasy skryte w cieniu
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannym oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza
I ta rwie się w chmurek stada
Jak pajęcza wiotka przędza
Na krawędziach skał osiada

A z pod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą,
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą;

A blask spływa wciąż gorętszy
Coraz głębiej oko tonie.

Wszystko to, o czym mowa była w tym wierszu, stanowiło prawdę i rzeczywistość, mistrzowsko oddaną rymami. Nawet stado owiec jakby, wyczarowane fantazją Asnyka, przesunęło się pobrzękując dzwonkami przed gromadką rozmarzonych chłopców. Z płaskorzeźby patrzyła na nich mądrymi oczyma piękna twarz filozofa-poety.

Lecz czas było ruszać. Wkrótce posuwaliśmy się ścieżką wśród kosówki w stronę Liliowego. Z przełęczy mieliśmy piękny widok na dolinę Wierchcichą zamkniętą garbami Wielkiej Kopy Koprowej i Cichego Wierchu, na skalny mur Hrubego i Krywania, wychylający się z poza grzbietu Zaworów, na czuby Tatr Zachodnich z wybijającym się na pierwszym planie masywem Czerwonych Wierchów i głęboką przełęczą Tomanowej. Ponad wcięciem doliny Cichej rysowały się na widnokręgu falistą linią dalekie szczyty Niżnich Tatr. Widok ku południowemuwschodowi Świnica i Walentkowa. We Wierchcichej błąkały się jeszcze resztki rannych mgieł. Lekki wietrzyk pociągał od strony Hali Gąsienicowej.

Godzina odpoczynku upłynęła nam na analizowaniu krajobrazu, gotowaniu herbaty i posilaniu się. W międzyczasie przybyli na przełęcz ścieżką wiodącą od strony Koprowej trzej słowaccy turyści. Okazało się, że jednym z nich był mój znajomy, którego poznałem w Rużomberku podczas wycieczki Chóru Dzieci Krakowskich w r. 1932. Tak się złożyło, że w rok później oprowadzałem tego Słowaka po Krakowie jako członka chóru różemberskiego, rewizytującego nas w podwawelskim grodzie. Teraz więc uścisnęliśmy sobie dłonie witając się jak dobrzy znajomi,

— A co? Góra z górą się nie zejdzie!

— Ano, ano — przytaknął żywo — ale człowek z człowekom sa zijde!

Słowacy zaproszeni do naszego kółka gwarzyli z moimi chłopcami wesoło to o liptowskiej bryndzy i krakowskiej kiełbasie, to o słowackim winie i o polskiej soli, o Dunaju i o Wiśle, o Bratysławie

i o Gdyni. Nakoniec zgadaliśmy się o Tatrach i o konwencji turystycznej polsko-czechosłowackiej, umożliwiającej turystom obu państw przekraczanie granicy politycznej w Karpatach.

Była godzina 11, gdy poczęliśmy razem schodzić z Liliowego, trzej słowaccy turyści na Halę Gąsienicową, my zaś do Zielonego Stawku Gąsienicowego, leżącego na wysokości około 1670 m. Nad jego brzegiem postanowiliśmy zjeść nasz obiad. Na trzech maszynkach spirytusowych, obsługiwanych umiejętnie przez ich właścicieli warzyła się herbata w dwóch kolejkach. Starczyło jej dla wszystkich. Smakowała wyśmienicie z zakąskami, które każdy z uczniów wyciągał z plecaka. Ten miał od mamy pieczone kurczątko, tamten kotlet i kiełbasę, owemu ciocia dała na drogę świetnych ciastek, którymi się dzielił z kolegami, tamten kończąc obiad zabierał się do czekolady i pomarańcz.

Po naszej stronie brzeg był niski, kosówka w pewnym oddaleniu go porastała, ale po drugiej stronie Pośrednia Turnia opadała wprost do jeziora skałami, które przeglądały się w nim jak w zwierciadle. Wielki Kościelec i Świnica panoszyła się nad nami. Ta ostatnia rzucała cienie na stożki usypisk, gromadzące się u wylotów żlebów. Śnieg zalegał w cieniu turni grubymi płatami. Wiedziałem, że za kilka tygodni, gdy śniegu w górach ubędzie, utworzy się z niego duża litera M (monogram wszystkich Mietków i Marianów) którą przez wiele lat obserwowałem rokrocznie z dalekiego Witowa, wypisaną w letnich miesiącach na ciemnym tle Świnicy.

Leżąc w słońcu na potężnym głazie, nieco z dala od mojej gromadki, patrzyłem w stronę granitowych obrywów Kościelca, gdzie przed ćwierćwieczem projektowano w grobowej niszy pochować doczesne szczątki Juliusza Słowackiego. Do uszów moich dolatywał stłumiony szmer jakiejś miniaturowej siklawy, wpadającej niewidzialną kaskadą wprost w toń jeziora, nad którego brzegami baraszkowali moi uczniowie.

— Dla nich tu wszystko nowe — dumałem — jak nowym i dla mnie był kiedyś ten górski świat. Dziś tu »każda skała ze mną gada« i przywodzi na pamięć różne epizody taternickich wypraw, podejmowanych w okresie młodzieńczym. Ze skałami tymi skojarzone nazwiska ludzi, z którymi wspólnie szedłem kiedyś zdobywać szczyty. Skały te, kominy, żleby i przełęcze to zapisana gęstym drukiem karta mego pamiętnika. Lata jak wichry biegną, jak potoki mkną. Ambicje taterniczo sportowe ustąpiły miejsca innym zainteresowaniom. Począłem szukać w górach towarzystwa ludzi nauki, począłem zapoznawać się z literaturą naukową i dzisiaj wiem, jak intenzywnie pracowała tu myśl ludzka nad rozwiązaniem wielu zagadek. Każdy niepozorny nawet szczegół, czy był nim kocioł lodowcowy, staw, czy morena, zioło alpejskie czy porost na skale, wszystko to było badane, dyskutowane, wszystko to związane jest z nazwiskami ludzi znanych mi osobiście i nieznanych, żyjących lub zmarłych, którzy dorzucali swoje cegiełki do gmachu ludzkiej wiedzy o Tatrach.

Ot np. choćby ten Zielony Stawek (zwany także Suczym), w którym oto tak malowniczo odbija się zieleń upłazków i zręby turni.

Wiem, kto mierzył jego głębokość, wzniesienie nad poziom morza i temperaturę. Znam jego profil batymetryczny i termiczny, przypominam sobie, że w jego zimnej, zda się, kryształowej, czystej wodzie żyją mikroskopijne skorupiaki, przeźroczyste rozwielitki, o których w Pamiętniku Tow. Tatrz. pisali Minkiewicz i Wierzejski. Któżby przypuszczał, że nawet w stawach tatrzańskich jeszcze o 300—400 m. wyżej położonych życie organiczne jest możliwe A jednak i tam ono istnieje.

Nie będę o tym mówił moim chłopcom, niech się beztrosko bawią. Chociaż kto wie, czy sami nie sprowokują na ten temat pogadanki, bo np. taki Wojtuś zapytywał już przy schodzeniu z Liliowego, czy w Stawach Gąsienicowych żyją ryby?

Mówił mi kiedyś jakiś juchas, że ten Zielony Stawek ma ponoć podziemne połączenie z potokiem »Na Dolinkę« po tamtej stronie Uhrocia Kasprowego. Oczywiście to tylko góralska fantazja, podobnie jak ta legenda o złotej kaczce pływającej po którymś z jezior tatrzańskich, ale opowieść o tej kaczce łepiejby się chłopcom podobała niż moje wywody o małych żyjątkach wodnych, które dopiero przez mikroskop odszukać można. Wiadomo: wiara i czucie silniej mówią czasem niż mędrca szkiełko i oko

Lecz co to? Mgły się podnoszą z za grani Liliowego? Nic nie szkodzi nadpłyną nad Pośrednią Turnię, odbiją się w toni Zielonego Stawku, jak w zwierciedle, przyczepią się wiszącym pomostem do szczytu Kościelca. O, przewalają się już uboczą, a nad jezioro, w którego toni błękit nieba zmatowiał i zszarzał — o dziwo! — z poza wysterku skalnego wypływa kaczka złota, a kręgi od niej idą po wodzie aż do samego brzegu, gdzie stoją znieruchomiali chłopcy i patrzą, dziwują się, dłońmi przysłaniając sobie oczy.

W taki to sen przeistoczyły się moje dumania, splątały się myśli, rzeczywistość zmieszała się z ułudą. Zasnąłem.

*

* *

— Panie profesorze! Panie profesorze! już trzecia! — mówił Tomuś, pociągając mnie delikatnie za rękaw.

— A gdzie złota kaczka na jeziorze? — spytałem.

Tomuś zdziwiony zrobił duże oczy i dopiero kiedy mu opowiedziałem, co mi się śniło, począł się śmiać serdecznie. Nadbiegli i inni chłopcy.

— Koledzy! Panu profesorowi śniła się złota kaczka na jeziorze. A może mu się jeszcze dalej śni, bo pan nie wstaje!

— To mu zaśpiewajmy tę kołysankę — rzekł Tomuś i zaraz począł nucić murmurando z kilku kolegami jakąś przepiękną piosenkę, z której tylko następujący dwuwiersz pamiętam:

U kaczora srebrne pióra
U kaczuszki złote nóżki..

Nie było rady, trzeba było wstawać i iść dalej. Poszliśmy na przełęcz Karbu. Ale o tym kiedy indziej.

ROMAN REINFUSS

Uwaga! Kręcimy film!

Od czasu gdy zakupiliśmy do Muzeum Etnograficznego aparat do zdjęć filmowych, wszystkie rozmowy toczyły się dokoła filmów. Reżyseria, scenariusz, montaż, jupitery stały się osią, dokoła której skupiały się nasze zainteresowania. Ta »sucha zaprawa« filmowa trwała przez całą jesień i zimę. Na wiosnę z duszą na ramieniu półsparaliżowany od dławiącej mnie tremy, ruszyłem na pierwsze zdjęcia.

Staję naprzeciw klasztoru tynieckiego, na pierwszym planie płynie leniwie rozlana Wisła. To coś dla mnie! Taki objekt przynajmniej nie ucieknie z przed obiektywu!... Zaczyna się długie nastawianie, mierzenie czasu naświetlania, wreszcie naciskam wyzwalacz i zaczyna się miły uchu filmowca szmer biegnącej taśmy.



fot. R. Reinfuss

Pucheroki z Zielonek koło Krakowa.

Nakręciłem jeszcze wtedy przeprawę promem, jadącą furę i parę fragmentów orki. Rolka się kończy. Pierwsze 30 m. filmu zostaje oddane do wywołania.

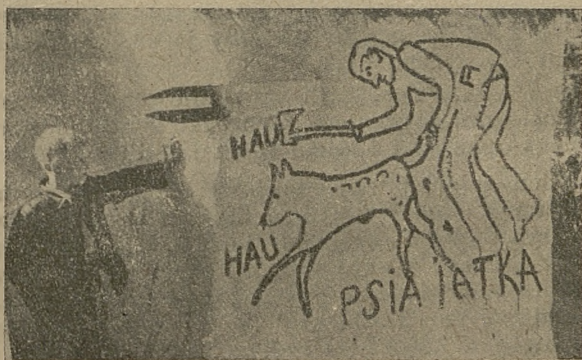
Wyobraźcie sobie z jakim napięciem oglądałem ten pierwszy film własnej produkcji. Zamknąłem się sam w pokoju, by nikt nie był świadkiem mojej porażki, założyłem trzęsącymi rękami film do projektora i załączyłem prąd.

Na białej tarczy ekranu ukazują się ruiny tynieckiego klasztoru i płynące wody Wisły. Ostro, wyraźnie, tylko za długo. Na filmie powinien być zawsze ruch, powinno się coś dziać, a tu stoi sobie klasztor na skale i nic. Aż do znudzenia. Za chwilę na ekranie pojawia się prom. Przewoźnik szybko obraca korbą, konie niecierpliwią się widząc zbliżający się brzeg. Wreszcie orka. Idzie chłop pochylony nad pługiem, skiby odwracają się krajane ostrzem lemiesza. Koniec.

Puściłem film jeszcze raz i drugi, i trzeci, żeby dojrzeć wszystkie jego wady i zalety. Technicznie był znośny, nawet dobry, tylko za nudny. Za mało ruchu!

W parę dni później, w Niedzielę Palmową a. D. 1946 siedzę w kuczki na środku zakurzonej drogi wiodącej przez Zielonki, w rękach mam aparat filmowy, a naprzeciw mnie po drugiej stronie potoku gotuje się do akcji dziesięciu »pucheroków«, którzy w swych wspaniałych pióropuszach z kolorowych papierków biegać będą od chaty do chaty z oracjami wielkanocnymi.

Po raz pierwszy filmuję zwyczaj ludowy. O ile przy zdejmowaniu Tyńca był wadą brak ruchu, o tyle w Zielonkach miałem go po uszy. Dziesięciu zbijaków, którzy byli aktorami filmu stanowiło żywioł równie trudny do opanowania jak stado spłoszonych mustangów. Wyreżyserowanie najbłachszej sceny trwało nieskończenie długo... Już było wszystko przygotowane, próba została szczęśliwie odbyta, aparat przygotowany do zdjęć.



fot. R. Reinfuss

Opatowiec koło Proszowic.

Żartobliwy rysunek na ścianie chaty, malowany w Poniedziałek Wielkanocny

Chłopcy! Uwaga, kręcimy film! Naprzód! Ale z gromadki nie rusza się nikt! Gdy spuściłem z nich wzrok na sekundę by odczytać przysłonę na czasomierzu, mały Staszek zdążył wyrżnąć w łeb nie wiele od siebie większego Władka i wbić mu pióropusz głęboko na szyję. Władek usiłuje bezradnie zciągnąć czapkę z głowy, a reszta pucheroków zanosi się od śmiechu.

Trzeba mu pomóc, naprawić uszkodzony pióropusz i pogodzić ze Staszkiem bo inaczej cały zespół aktorów rozleci się i filmowanie nie zostanie skończone. Ledwo konflikt został załagodzony i scena jako tako nakręcona, przy następnej Władek bierze odwet i w momencie, gdy pucheroki wbiegają na pole widzenia nastawionego aparatu podkłada zręcznie nogę swemu przeciwnikowi i Staszek rozkłada się jak długi nawprost objektywu i to w czasie, gdy taśma biegnie! Scena zepsuta! Jeszcze raz! Wygłaszam do zespołu aktorskiego dłuższe prze-

mówienie, w którym apeluję do ich najszlachetniejszych uczuć, ambicji, patriotyzmu lokalnego no i do tego, że jako »ludzie dorośli« powinni zrozumieć doniosłość chwili.

Łobuzerskie roześmiane twarze moich młodszych słuchaczy nie pozwalają mi łudzić się ani na chwilę. Wyczyn oratorski uderzył w próżnię. »Gadaj do lampy« zdają się mówić »nas bracie na wzniosłe słówka nie nabierzesz«. I rzeczywiście w niecałe 5 minut później puścili taki energiczny atak do drzwi jakiejś chaty, że swymi drewnianymi młotkami obili całą farbę ku przerażeniu i jawnemu niezadowoleniu właścicieli. W rezultacie gospodyni przy słuchaniu pucherockiej oracji miała minę wielce kwaśną i raczej nie dostosowaną do treści filmowanej sytuacji Gdy prosiłem ją, aby zgodnie ze zwyczajem zechciała dać pucherokom jajko, oburzyła się!

»Co?! Łoni mi całe dźwi obrypali, a jo im jesce do tego mom jojko dawać?«

Dopiero gdy się okazało, że jajko nie będzie od niej tylko od Muzeum i Muzeum za nie zapłaci, zgodziła się pucheroków »obdarować« ale zrobiła to z takim gestem, jakoby je chciała rozbić na głowach swych małych dręczycieli.

Tak moi czytelnicy, jeśli za filmowanie obrzędów udzielają w niebie odpustów, nakręceniem pucheroków zarobiłem na zupełne odpuszczenie kary doczesnej i wielu setek lat mąk czyśćcowych.

W tydzień później pojechaliśmy kopcącym samowarkiem do Proszowic i tam z doc. Sewerynem filmowaliśmy zwyczaj malowania satyrycznych rysunków na ścianach domów w drugi dzień Wielkanocy. Omówiliśmy z grubsza z aktorami przebieg akcji i przystępujemy do kręcenia. Trzech młodzieńców okazuje się wspaniałymi aktorami filmowymi. Ruszają się przed obiektywem ze swobodą Grety Garbo. są karni i nie patrzą w obiektyw. Robota idzie wspaniale.

Scenariusz wymaga jednak epizodycznego wystąpienia starszej kobiety właścicielki domu, która ma wyjść, zobaczyć karykaturę wymalowaną na ścianie i gestem zdziwienia i oburzenia pogrozić w stronę, gdzie uciekli sprawcy.

Epizod drobny, ale gdy przystąpiliśmy do prób okazało się, że nie każdy potrafi się na zamówienie zdziwić i oburzyć. Aktorki zmieniają się raz po raz, każda następna jest bardziej drewniana od swej poprzedniczki. Wreszcie ujawnił się jakiś zapoznany talent aktorski. Aparat w ruchu taśma mknie, kobieta wybiega przed dom, spostrzega rysunek, chwyta się za głowę, grozi pięściami zirytowana i odbiega. Nie znikła jeszcze z pola widzenia, zatrzymuje się i ogląda za siebie:

»No jak tam? Dobrze było?«

I ruch ten został utrwalony na wstędze. Znowu trzeba było część sceny powtórzyć.

Od czasu gdy Państwowe Muzeum Etnograficzne stawiało pierwsze kroki na drodze etnograficznego filmu naukowego minął rok. Dziś dorobek Muzeum stanowi film w 2 częściach o zwyczajach dorocznych obejmujący okres Wielkanocy i Bożego Narodzenia, dłuższy film

o pracach rolnych nakręcany w Tyńcu ilustrujący pracę rolnika od orki wiosennej po jesienną młockę i wreszcie rozpoczęty film o tańcach ludowych, który w chwili obecnej obejmuje same tańce góralskie. Niektóre z tych filmów jak np. o zwyczajach dorocznych są już zaopatrzone w napisy i bywają wyświetlane w związku z odczytami, pogadankami itp. Publiczność przyjmuje je bardzo życzliwie, ale my widzimy w nich jeszcze duże braki, które w dalszych zdjęciach postaramy się ostatecznie usunąć.

Wielki dzień Warki.

Małe miasteczko Warka nad Pilicą przeżywa dzisiaj swój dzień historyczny. Odbywają się tu bowiem uroczystości związane z uczczeniem 200 rocznicy urodzin Kazimierza Pułaskiego, syna Warki, bohatera walk o wolność Polski i Ameryki.

Pułaski wstąpił do amerykańskich wojsk powstańczych jako zwykły ochotnik i wkrótce awansował na generała brygady. Washington powierzył Pułaskiemu organizację i dowództwo całej kawalerii powstańczej. Pod koniec wojny wolnościowej uformował Pułaski specjalny legion i walczył na jego czele. Ciężko ranny angielską kulą dnia 6-go października 1799 r. przy oblężeniu fortu w Savannach, został przeniesiony na okręt »Wasp«, na którym zmarł od ran. Ciało jego zgodnie ze zwyczajami pochowane zostało w głębinach Oceanu Atlantyckiego.

Warka, w której Kazimierz Pułaski urodził się dnia 4 marca 1747 roku jest jednym z najbardziej zniszczonych miast w Polsce. W czasie lipcowej ofensywy radzieckiej miasteczko i okolica parokrotnie przechodziły z rąk do rąk. Ostatecznie wojska radzieckie utrzymały w Warce swój przyczółek mostowy, z którego w pół roku później uderzyły na Warszawę.

Miasteczko leży w gruzach, ale przeszło polowa jego mieszkańców powróciła, większość z nich mieszka w prymitywnych szopach albo w piwnicach pokrytych tylko starym dachem. Historyczny pałac, w którym urodził się Pułaski, został uszkodzony kilkoma pociskami. Dziś w części pałacu znalazła pomieszczenie szkoła. Ostatnio zainteresowało się ruiną zabytku i zniszczeniem miasteczka społeczeństwo amerykańskie, które w osobie Pułaskiego czci jednego z największych bohaterów walk o wolność. Gdy w Ameryce dowiedziano się, że miasteczko i pałac zostały zniszczone, że ludność jest biedna, nie ma odzieży i dachu nad głową, szereg organizacyj amerykańskich z Kongregacją Studentek Amerykańskich na czele, obiecało Warkę odbudować, a przedtem jeszcze przez 3 miesiące żywić jej mieszkańców, dać narzędzia rolnicze i odzież. Kongregacja prosiła również o podanie sumy jaka potrzebna jest na odbudowę miasta. Obliczono ją na 11 milionów dolarów. I choć do obecnej chwili nie wpłynął do Warki jeszcze ani jeden dolar, nadeszły wiadomości, że w Stanach Zjednoczonych odbywa się masowa zbiórka na odbudowę Warki.

Do czynu!

O, Młodzieży Krajoznawcza!
Nowe dziś przed Wami drogi,
Otwierają się przestrzenie,
Miasta, lasy i rozłogi.

Cała Polska dziś oddycha
Nową wiosną swego życia,
Dziś przed Wami, Krajoznawcy,
Nowe drogi do przebycia!

Już czekają na Was góry,
Błękit morza, dal bezdenna.
Nowa Polska się uśmiecha,
Taka... nasza i... wiosenna,

Hej! Do pracy więc, do czynu!
Zwiedzać nasze miasta, kraje,
Mchem porosłe, stare grody,
Poznać ludzi, obyczaje.

Czas już nadszedł naszej pracy,
Więc w szeregu stańmy społem,
Idźmy w świat jak promień słońca,
Z jasnym i pogodnym czołem!...

Zbigniew Karol Bebak.

„Polski atlas etnograficzny".

Słowo »etnografia« nie jest pojęciem popularnym, natomiast popularne jest i znane powszechnie »ludoznawstwo«. Terminy te nie są identyczne, ale w odniesieniu do badań nad kulturą ludową naszego kraju zbiegają się do tego stopnia, że możemy traktować je tu jako synonimy. Chociaż więc Atlas, o którym mowa, nosi nazwę etnograficznego, to jednak praktycznie oznacza on atlas polskiej kultury ludowej. Jaka jest istota i cel tego atlasu?

Polska etnografia doznała w bieżącym stuleciu dużych przeobrażeń, rozwinęła się znakomicie, ale niestety tylko jednostronnie. Zgromadziła dużo prac; sporo materiału monograficznego, jeszcze więcej materiałów i przyczynków i najrozmaitszych okruchów, ale nie potrafiła dotąd stworzyć syntezy polskiej kultury ludowej, nie dała tak pełnego obrazu, jak to się udało już uczynić Francuzom, Rumunom i Niemcom. Dlatego też Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, którego zadaniem jest badanie ludu polskiego i rozpowszechnianie zebranych o nim wiadomości, podjęło się prac nad stworzeniem »Polskiego Atlasu Etnograficznego, mającego usunąć niedostatek kartograficznego dorobku polskiej etnografii i umożliwić jej syntezę. Ten ambitny plan opiera Towarzystwo na nadziejach, że »Atlas« wysunie polską etnografię na pierwsze miejsce w Europie, tak jak dotąd »Lud«,

organ Towarzystwa wysunął się już na czoło wszystkich słowiańskich wydawnictw tego rodzaju.

Praca nad »Polskim Atlasem Etnograficznym« przebiegać będzie następującymi drogami. Pierwsze stadium stanowić będzie zebranie materiału z całego etnograficznego obszaru Polski. Przez materiał rozumie się tu dane co do każdego zjawiska z dziedziny kultury ludowej, przy czym zjawiskiem jest każda rzecz, każdy sprzęt, wiadomości o życiu i świecie, każde wierzenie, sztuka, pieśń, podanie, baśń, legenda, zagadka, przysłowie, obrzęd, zwyczaj, formy życia towarzyskiego, zabawa itd., cały nieprzejrzany wprost ogrom faktów, struktur, funkcyj i ideologii. Pierwszym więc zadaniem będzie zebranie skrzętne i dokładne tych wszystkich zjawisk. Będzie to praca nie na jednego człowieka i nie na jeden rok, ale przez lata trwająca praca zespołowa, oparta o system ankiet i kwestionariuszy tak opracowanych i sformułowanych, że w akcji tej będzie mógł wziąć udział każdy, kto choćby tylko pobieżnie interesuje się problemami kultury.

Drugim stadium będzie kartograficzne ujęcie każdego zjawiska. Ułożą się tedy te zjawiska w jakieś kształty geograficzne, ukażą się jakieś ich centra, peryferie, terytoria przejściowe, przerwane lub szczątkowe, ukaże się życie takiego zjawiska, kierunki jego ekspansji czy zaniku. Dowiemy się wówczas, skąd się jakieś zjawisko na naszym terenie wzięło i czyim jest wytworem. Dowiemy się, co jest w naszej kulturze niezaprzeczenie polskie, dawne, a co przyszło z zewnątrz, przyniesione w efekcie historyczno-kulturalnych wydarzeń. W ten sposób zarysuje się wyraźnie również kulturowe oblicze każdej grupy etnicznej.

Porównanie i syntetyczne opracowanie tak zebranego materiału, to studium trzecie i ostatnie, to cel, który przyświeca polskiej etnografii i Towarzystwu Ludoznawczemu, to synteza etnografii i ludoznawstwa polskiego, to synteza i charakterystyka ich narodowych wartości.

W akcji tej winni wziąć udział ci wszyscy, których sercu bliskie są sprawy polskiej nauki i polskiej kultury, którzy mają zamiłowanie i zrozumienie dla spraw kultury ludowej, których interesuje folklor, jego oblicze i życie, którzy z ciekawością patrzą na jego przejawy, następnie tacy, którzy pracują dla dobra wsi i jej kultury, gdyż »Atlas« będzie posiadał prócz wartości naukowych, również rozległe znaczenie społeczne i będzie mógł z niego pełną dłonią czerpać każdy oświatowiec, każdy ksiądz, nauczyciel, każdy pionier i działacz ludowy. Do tych wszystkich zwraca się Polskie Towarzystwo Ludoznawcze,

którego centrala mieści się w Lublinie, z gorącym i serdecznym apelem o współudział, o cegiełkę w tym żmudnym wprawdzie, ale niezwykle ważnym i wielkim dziele.

Zgłoszenia prosimy nadsyłać pod adresem: Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Redakcja »Atlasu«, Lublin, Aleje Racławickie 14/63.

Tadeusz Delimat.

Z literatury ludowej

Katarzyna Pleniówna z Dobry.

Z pamiętnika wiejskiej dziewczyny, która pragnęła się uczyć i pracować dla dobra drugich, dlatego opuściła dom rodzinny, przeżyła w ciężkich warunkach wiele lat w Krakowie i zmarła w ubiegłym roku na gruźlicę.

2 września 1926 r.

Drugie to już pożółkły listki na drzewach, gdy plątam się po bruku miastowym, a w sercu mojem wszystkie listki nadziei opadły. Dusza moja jak cmentarna mogiła. Jak na cmentarzysku sterczy w niej grób przy grobie.

3 września.

Na nowo zaczynam uczęszczać na wykłady do Szkoły Pr. Społ. Szarpię się na wszystkie strony, aby zdobyć jakie takie warunki życiowe. Niestety nie mam nic zupełnie.

6 września,

Jadę do wsi. Ach Boże mój! jestem w siódmem niebie na samą myśl, że za dwa dni — dwa dni długie jak jeden rok — zobaczę moją wioskę, moje pola, góry i lasy! Nie wiem, czy będę mogła co napisać od wrażeń. Bo ja od żalu wielkiego nie mogę płakać, ani od radości się śmiać lub coś pisać. Chwil wielkiego smutku lub wielkiej radości nie profanuje się ani łzami ani śmiechem. To za zwyczajne na wielkie smutki czy radości.

W Dobry.

Ach biegnę po łące. Muszę przecież pooblatywać wszystkie moje stare miejsca, gdzie z drzewek, z kwiatów robiłam sobie, będąc małą dziewczyną, przyjaciół. Miałam w polu ukryte koło rzeki na dużej kępie i koło cmentarza pachnące fiołki. Pobiegłam je zobaczyć. Oczywiście kwiatów nie było tylko bujne listki i pęcherzyki owoców świadczyły, że na wiosnę musiały bardzo kwitnąć. Ach mój Boże! to wyście tutaj kwitły, a mnie nie było i nikt się waszym widokiem nie cieszył!

Pognałam jak pies w pole bez pamięci, nie mogłam się nacieszyć, że mogę boso latać. Pobiegłam przywitać moją chorą sosenkę. Jej widok jeszcze dodal mi bólu, bo jak to było z tą sosną: Pamiętam raz mamusia kazała mi paść krowy i bardzom płakala, bom się bała i krów i białych chmur na niebie i deszczu i grzmotów. Mamusia nigdy mi nie kazała paść, tylko jak już nie było komu innemu czasem

paść, bo wiedziała, że się okropnie boję wszystkiego, a najwięcej samotności. I wtedy musiałam paść. Siedziałam smutna przy drodze, zamyślona o wszystkiem tylko nie o krowach.

Zobaczyłam niedaleko ode mnie maleńką sosenkę, która dwoma zaledwie gałązkami wyglądała do mnie z trawy, jakby maleńkie dziecko, wyciągające ramionka, prosząc ratunku. Mimowoli tak odruchowo szarpnęłam bat, aby przypadkiem nie ukrzywdzić maleńkiego krzaczka. Mojem sercem szarpnęło żywe współczucie. Taka maleńka sosenka i o mało a mogłabym machając batem ściąć jej wierzchołek jak dziecku główkę To mi się wydało okrucieństwem. Boże! nikt nie oszczędza tych biednych siostrzyczek. Ile się ich marnuje!

Powiedziałam sobie: — ja muszę się tą sosenką zaopiekować, aby jej nikt gałązek nie obłamał. Nazbierałam patyków, zrobiłam jej ogródek mocny i byłam ogromnie zadowolona z tego. Całe pół dnia zaglądałam na nią i cieszyłam się. Postanowiłam, że odtąd moja sosenka będzie moją przyjaciółką i że nigdy nie będę śmigać batem po ziemi, bo przez takie lekkomyślne śmiganie mogłabym, o zgrozo, główki kwiatkom poucinać, a toby było barbarzyństwo.

Zaczęłam obserwować, czy wszystkie kwiatki mają gałązki podobne do maleńkich dziecięcych ramionek i stwierdziłam, że tak i rzuciłam oczyma daleko, jaką przestrzeń mogłam niemi objąć. Zaróżowiły się, zabielały i mniejsze i większe kielichy kwiatów, jak strojne główki dziecięce i wtedy pierwszy raz zauważyłam, że na świecie jest bardzo pięknie. Wszak mogłam patrzeć, jak przedemną stały masy ślicznych dzwonków, stokroci, różyczek i zapominajek. Stały cichutkie, poważne a wesolutkie. Przede mną na ziemi stały, a przecież główki miały podniesione w górę. jakby mnie zachęcały, żebym i ja za niemi w ślad popatrzyła. I popatrzyłam i zobaczyłam nad swoją głową niebo bez jednej chmurki, czyste, prześliczne. Domyśliłam się, że kwiatki tam swój wzrok ciągnęły, gdzie mieszka nasz wspólny Stwórca, który i mnie i ich do życia powołał. I wtedy zdawało mi się, że to nie kwiatki wokół mnie, ale całe zastępy mniejszych i większych aniołów, które czują, myślą tak samo jak i ja. Spostrzegłam, że cudny jest świat i jak to dobrze. że ja mogę patrzeć na niego i patrzeć do syta i nikt mi nigdy nie zabroni. Postanowiłam kochać wszystkie kwiatki, a s ale opiekować się maleńką sosenką. Uradowana śmiałam się do kwiatków i podziwiałam je.

Głos dzwonu na Anioł Pański przerwał moje obserwacje. Ani się spostrzegłam, że na obserwacjach kwiatów upłynęło długie pół dnia. Roześmiana jak nigdy, przypędziłam krowy do domu. W piersiach miałam tyle szczęścia i tyle radości, że nie mogąc doczekać kiedy przyjdę do domu, krzyczałam na cały głos: — Mamuniu! moja mamusiu! nic nie płakałam, bo nie miałam czasu! Coś nowego znalazłam! — Matka ucieszona, żem rzeczywiście nie płakała, wybiegła do mnie przed dom Z wybuchem rzuciłam się matce na szyję i mówiłam: — Mamo! nie miałam czasu płakać, bom spostrzegła, że kwiatki to są tak śliczne, jak małe aniołki, a drzewa to tacy rycerze dumni, że jak oni patrzą na nas, to się nikomu nic złego nie stanie, bo oni nie dopuszczą, a małemi drzewkami to trzeba tak opiekować się jak

małemi dziećmi, bo one są też dziećmi i grzech byłoby je skrzywdzić, a ja już nigdy nie będę śmigała batem po ziemi, bo mogłabym kwiaty lub roślinki kaleczyć, a to przecie grzech, bo z góry patrzy na to Bóg i pewnieby Mu się to bardzo nie podobało. — Paplałam jak sroka, zaduszając matkę, która nie podzielała mojej radości wcale, tylko mówiła jakby sama do siebie: — Boże! Boże! moja natura, co to będzie biedactwo robiło na świecie!

Doprawdy taka mi się dziwna wydawała moja mama czasami jak i wtedy, gdy ja ucieszona wróciłam od pasienia krów, to mama płacze, a jak ja płaczę, to mnie pociesza i mówi, że trzeba wszystko robić i płakać. A teraz gdy ja się cieszę, to płacze i mówi: — Boże! Boże! co to będzie robiło na świecie? — Boże mój! Matko moja! dziś dopiero wiem i rozumiem, żeś Ty nad moją dolą już wtenczas płakała. Ach! jakie to drogie dla mnie wspomnienie a jakie dalekie!

I ten dzień kiedy znowu pobiegłam zobaczyć moją sosenkę i zobaczyłam, że ma urwany wierzchołek i obłamane gałązki. Ach! jak mi serce bólem się skurczyło i tak mi coś w duszy zamarło, jakby jeden z moich smutków dziecięcych zapadł się gdzieś w przepaść nicości, z której nikt go nie odratuje. Tego dnia przylazłam za krowami spłakana jak nigdy, a na wszystkie całowania matki i tkanie mi jedzenia wydarło mi się z duszy: — Mamo! poradź mi co robić, żebym umarła, bo ja nie chcę żyć! — Alem powodu mego zmartwienia już matce nie powiedziała, bałam się, żeby nie płakała, ale więcej się bałam tego, żeby mama przypadkiem nie powiedziała, że nie warto płakać o dwie gałązki odłamane, a to niezrozumienie byłoby wtedy dla mnie straszne. Ja nie tylko płakałam o złamanie gałązek ale o krzywdę, którą bardzo odczułam, a nie rozumiałam tego, że i mamusia miałaby rację, gdyby powiedziała, że niema o co tyle płakać. Rozumiałam swoje, a krzywda mnie bardzo bolała.

Ach poszłam onegdaj popatrzeć na moją sosenkę. Biedaczka stoi skarłowaciała obłamana trochę, podrosła, przecież już lata temu Gdy ją zobaczyłam, stanął cały świat, mój świat dziecięcy przed oczyma i wtedy, dopiero wtedy u tej sosenki łzy strumieniem polały mi się po twarzy. Wszak skarłowaciała sosna, to przecie życie moje. Strata rodzinnego domu, majątku, strata rodziców, to tak bolesne osierocenie, smutne zawody i przykrości, to obłamanie ramion, jak tej roślinie gałązek.

Smutno mi na każdym kroku bardzo, a jednak dusza drga mi jakiemś nienaturalnym zadowoleniem. Mam takie uczucie, jakbym zobaczyła coś bardzo drogiego a czego niespodziewałam się już nigdy oglądać.

16 września

Dziś rano wróciłam do Krakowa. Wróciłam tylko ciałem, bo dusza moja błąkała się tam po wiejskich rubieżach. Tydzień, pobytu na wsi był dla zbolałej duszy jak balsam, lecz dopóki tam byłam. Powrót do miasta rozdarł mi rany, rozszarpał okrutnie.

Widzę się biedną materialnie. Czuję, że ciężkie warunki kopią przepaść przede mną tak wielką, że mowy o tym nie może być, bym

kiedy mogła wrócić do wsi z zamiarem pracowania umysłowo dla nich. Czuję doskonale w duszy przeświadczenie o tym, że się to nigdy, nigdy nie stanie i to pogarsza mój ból. Bo choćby tęsknota paliła mnie jak ogień, jeśli miałam w sercu nadzieję, że choć kiedyś ziszczą się moje pragnienia, ból i największy zmniejszyłby się o połowę — natomiast przekonanie, że się to nigdy nie stanie, tęsknotę za wsią za swojemi zamienia w jedno beznadziejne piekło. Ach! jak okropnie cierpi się, a nikt o tym nie wie.

Przemawia do Was redaktor.

Zeszyt ten »Orlego Lotu« poświęcamy zasadniczo Adolfowi Dygasińskiemu. Nie dajemy wprawdzie nowych materiałów i opracowań Jego twórczości, przedrukowujemy tylko artykuły, które ukazały się w Ziemi w r. 1939. Uważamy je jednak za tak cenne i tak głęboko ujmujące cechy charakterystyczne duszy Dygasińskiego, że warto, by je każdy młody krajoznawca kilka razy przeczytał (sam chętnie powracam do lektury tych artykułów) i by je czytano na posiedzeniach Kół. Naturalnie nie chodzi tu tylko o same czytanie tych artykułów, one mają się stać bodźcem do zajęcia się twórczością A. Dygasińskiego.

Załączona mapka wskazuje nam teren twórczości A. Dygasińskiego, teren który on sam przewędrował, dokładnie poznał, umiłował i w swoich dziełach odmalował. Wszystkie Koła Krajoznawcze, których siedziby znajdują się na tym terenie, powinny wziąść na siebie obowiązek dokładnego poznania tego terenu, zapoznania się z dziełami A. Dygasińskiego i pogłębienia znajomości tych ziem przez wędrówki i przez zbieranie wiadomości krajoznawczych. Oby młodym krajoznawcom tak jak Dygasińskiemu mógł się wyrwać okrzyk: »Szczęśliwy, kto z kijem wędrownym przebiega ziemię!«

Jako centrum tego terenu musimy uznać Pinczów, gdzie Dygasiński przeżywa swoje szkolne czasy, na północ sięga ten teren po Radom, ze wschodu opływa go Wisła, od południa zamyka go Kraków z Ojcowem a ze zachodu Częstochowa. Otóż wszystkie Koła istniejące na tym terenie powinny przyjąć jako patrona swojego Adolfa Dygasińskiego, powinny zbierać Jego dzieła i rozczytywać się w nich, powinny cały ten teren za wzorem Dygasińskiego przewędrować i opisać.

Autorem artykułu »Ziemia i lud w twórczości A. Dygasińskiego« jest Władysław Wolert, mąż córki A. Dygasińskiego Zofii, która zginęła tragicznie podczas wojny, a on sam również zginął tragiczną śmiercią najechany przez motocykl. Jak widać z tego artykułu odnosił się Wł. Wolert z ogromnym pietyzmem do dzieł swego teścia, zabiegał około wydania zbiorowego dzieł jego, niestety tragiczna i przedwczesna śmierć przerwała jego prace i niewiadomo, czy dziś zajmie się kto spuścizną po Dygasińskim.

A teraz pomówmy o pracy w Kołach.

Na razie nie mamy jeszcze żadnych prawie danych, jak i czy

Koła pracują. Napływają zgłoszenia, niektóre Koła pytają z zaklopotaniem, co one właściwie mają robić. Tym postaramy się podać kilka wskazówek.

Nie powtarzamy tego, co podaliśmy w poprzednim zeszycie »Orlego Lotu« za styczeń i luty. Przyjmujemy, że Koło podjęło wstępną akcję, by zainteresować krajoznawstwem tych, których chce pociągnąć ku sobie, zorganizowało jakąś wieczornicę regionalną z tańcami i śpiewami ludowymi, a potem poranek informujący o zadaniach Kół Krajoznawczych ich historii, zasadach organizacyjnych i planie pracy Koła. Otóż tutaj natrafiamy na trudność, jaki plan rozwinąć? Naturalnie wszystko zależy od wyczucia i zrozumienia zadań krajoznawstwa polskiego tak ze strony inicjatorów, jak i opiekuna Koła, zależy też od warunków, w których Koło powstaje i ma rozwinąć swą działalność, zależy od warunków terenowych. Że na pierwszy plan powinien się wysunąć program wycieczkowy, a w związku z nim sumienne przygotowanie się do nich, o tem już pisaliśmy. Wycieczka bez przygotowania może być przyjemną, ale nie będzie krajoznawczą, będzie bezwartościowym zbijaniem bąków, a nie wolno nam tracić czasu na bezwartościowe wyczyny.

Wycieczka osiągnie swój cel, gdy będzie przygotowana i systematycznie przeprowadzona. Gdy uczestnicy podzieliwszy między siebie referaty, każdy według swej specjalności i przygotowania czynić będą po drodze spostrzeżenia, a po odbytej wycieczce napiszą sprawozdania, które złożone do archiwum, staną się materiałem do przygotowania następnych wycieczek. Jako ujemny przykład sprawozdania z wycieczki przytoczyć możemy opis wycieczki nadesłany do Redakcji »Orlego Lotu«. Jest to rękopis obejmujący arkusz pisma o 100 wierszach. Opis samego celu wycieczki obejmuje 17 wierszy w formie »referatu« a poza tym żadnych spostrzeżeń, żadnego nastawienia krajoznawczego, ot sobie opis takich hecek uczniowskich, upstrzony zwrotami z gwary uczniowskiej. N. p. u celu wycieczki jeden z uczestników czyta ten 17-wierszowy »referat«. — »Referat wywołał spontaniczny (czyt jednogłośny, panny F.) wybuch śmiechu«. Otóż »referat« powinien był być odczytany przed wyruszeniem na wycieczkę, (i wtedy może nie byłoby miejsca na śmiech!) a na wycieczce powinny być zrobione spostrzeżenia i te zanotowane.

Jednym z ważnych zadań Koła dobrze zorganizowanego i poważnie traktującego swe zadania jest współpraca z Nauką Polską przez zbieranie materiałów krajoznawczych. Jako najbliższe zadanie czeka Koła współpraca z Polskim Atlasem Etnograficznym. Ażeby do tej akcji się przygotować powinno Koło wykreślić sobie mapkę miejscowości, z których pochodzą uczniowie czy uczennice danego zakładu. Bardzo byśmy się ucieszyli, gdyby koła zechciały takie mapki nadsyłać do Redakcji. Mając takie zestawienie miejscowości możemy się orientować z jakiego terenu krajoznawczego możemy uzyskać odpowiedzi na kwestionariusze.

Niektóre Koła, celem przygotowania wieczornicy zbierały materiał ze swego środowiska, a więc opisy zwyczajów, czy pieśni i tańce i materiały te wykorzystały. Tak np Koło Gimnazjum im. A. Mickiewicza

w Wilnie zebrało materiały do wesela i zainscenizowało »Wesele na Wileńszczyźnie« które następnie wydało drukiem, podobnie opracowało też zwyczaje żniwiarskie i wydało »Żytnie żniwo«. W ten sposób wiele Kół nie szuka materiałów gotowych, zebranych w różnych zbiorkach, tylko sami je zbierają i to należy uważać jako czyn krajoznawczy. Więc nie zwracajcie się nigdy do Komisji, gdzie macie szukać gotowych materiałów, ale szukajcie je we własnym terenie, wtedy praca Wasza będzie wartościowa i sami uzyskacie nagrodę Waszej pracy we własnym zadowoleniu, żeście się przyczynili do pomnożenia wiedzy o naszym kraju.

Ażeby Koło mogło racjonalnie pracować, musi wyszkolić sobie instruktorów pracy krajoznawczej i przewodników, a dla tych najlepszą szkołą są wakacyjne obozy krajoznawcze. Koło może samo zorganizować dla swoich członków obóz, albo też wysłać kilku kandydatów na instruktorów na inne obozy. W obu wypadkach potrzebne są Kołu pewne fundusze. Otóż staranie się o fundusze na obozy krajoznawcze powinno być ważną troską Zarządu i Opiekuna Koła. A więc wszystkie imprezy, wieczornice, poranki, odczyty z przeźroczami, wycieczki majówki i t. p. powinny mieć obok celów krajoznawczych także zdobywanie funduszów na obozy. O tym trzeba pamiętać!

O obozach krajoznawczych znajdujemy artykuł w listopadowym numerze »Ziemi« pióra Tedeusza Prus Wiśniowskiego.

A jak Wam się podoba nasz ostatni kwestionariusz: »Co wiemy o przeszłości naszej wsi«? Czy on jest interesujący? Czy Koła podejmą się opracowania go? Które Koło nadeśle najlepsze opracowanie? W każdem Kole powinni podjąć się opracowania go ci, którzy pochodzą ze wsi, może jedną wieś opracować kilku na spółkę podzieliwszy między siebie pytania. Bardzo ważną rzeczą będzie tu opis wypadków z ostatniej wojny: palenie wsi, łapanki, egzekucje, denuncjatorstwo i t. p. Naturalnie powinny wziąć udział w opracowywaniu tego kwestionariusza i Koła większych miast, boć przecież w każdym kole krakowskim czy poznańskim znajdzie się kilku członków pochodzących ze wsi. A więc w programie wszystkich Kół niech figuruje opracowanie tego kwestionariusza pod hasłem: Koła piszą historię wsi!

Bywajcie!

Fundusz nagród.

Dr Roman Reinfuss ofiarował honorarium za wykład dla Kół Krajoznawczych 300 zł na »Fundusz nagród« za prace krajoznawcze.

Otwieramy składkę na »Fundusz nagród«. Prosimy o dary pieniężne lub w książkach i przyborach szkolnych.

Od Redakcji.

Zaznaczamy, że autorem artykułu: »Góra świętej Anny«, »Orli Lot« nr 1/2, str. 16/17 jest **Jan Opial,** uczeń klasy III. Gimnazjum Handlowego Męskiego w Krakowie.

Adresy: Komisja Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej, Kraków, Krowoderska 46 m. 9. Redakcja i Administracja »Orlego Lotu«, Kraków, Krowoderska 46 m. 9.

Informacje dla wycieczek.

Plan zwiedzania Krakowa w ciągu 2 dni.

Dzień pierwszy.

Przed południem:

Wawel: Katedra otwarta od godz. 10—12, oprowadza przewodnik płatny, wstęp bezpłatny, wstęp do grobów królewskich 5 zł, wstęp na Wieżę Zygmuntowską 2 zł.

Zamek otwarty od godziny 9—13, wstęp od osoby 5 zł, przewodnik bezpłatny. — Dokładne oprowadzanie wewnątrz budynków zajmuje około 3 godziny, zewnętrzne objaśnienia zajmują około 1 godziny.

Po południu:

Kościół św. Michała na Skałce, otwarty cały dzień, przy wstępie do grobów zasłużonych składa się jako ofiarę drobne datki.
Kościół św. Katarzyny, o otwarcie należy prosić w zakrystii.
Kościół Bożego Ciała, otwarty od godziny 6—20.

Dzień drugi.

Przed południem.

Stare mury obronne Krakowa, ul. Floriańska do Rynku Głównego.
W Rynku: Kościół Najśw. Marii Panny, otwarty od godziny 6–20. — Kościół Św. Barbary. — Sukiennice. Wieża ratuszowa. — Kościół Św. Wojciecha,
Muzeum Narodowe, otwarte od godziny 9—14, wstęp dla wycieczek po 2 zł od osoby. Po zniżkę należy się zgłosić w Sekretariacie Muzeum, który mieści się w gmachu Sukiennic. wejście od strony kościoła Mariackiego.

Po południu.

Budynki starego **Uniwersytetu,** zwłaszcza budynki przy ulicy św. Anny 8 i 10, stara **Biblioteka Jagiellońska.**
Kościół św. Anny, otwarty między 6—12 i od 16–20.
Collegium Novum, wejście od strony plant, otwarte od godz. 7—21.
Kościół OO. Franciszkanów pod wezwaniem Trójcy Przenajśw., w krużgankach galeria biskupów krakowskich.

Noclegi.

Miejski Dom Wycieczkowy, wybudowany ze składek młodzieży, jest zajęty przez Dyrekcję Paliw Płynnych i nie ma nadziei, by został oddany na cele przyjmowania wycieczek. Jedynie Stowarzyszenie Sług św. Zyty utrzymuje schronisko wycieczkowe i pobiera 50 zł od osoby za jedną noc. Adres: ul. Kopernika 13.

K. SOSNOWSKI

W obronie Krzemionek [1].

Sprawa w zasadzie tak sympatyczna i miła jak »Święto Matki« może mieć dla przyrody ujemne skutki. Obchodzone ono było w roku ubiegłym w maju, a w przeddzień jego zdarzyło mi się widzieć na Krzemionkach Zakrzowskich całe zastępy dzieci szkolnych, zbierających tam na polanach i w zagajnikach kwiaty dla swych matek. Kiedy im zwróciłem uwagę, że tego tam czynić nie wolno, bo to grozi wyniszczeniem resztek osobliwej flory wapiennej, dzieci tego nie rozumiały, były zdumione uwagą i tłumaczyły mi, że »to przecież dla mamusi«. Dzieci winić nie można. Tu trzeba winić wychowawców, którzy te dzieci po kwiaty — zresztą tam ubogie i nieefektowne — w to miejsce tłumnie wysłali.

Krzemionki — to skarb Krakowa i winniśmy bronić go wszyscy. Przeciwdziałać mamy także obrywaniu całych gałązek z drzew, zwłaszcza modrzewi, które wędrują do miasta na handel. Jeden gajowy wszystkiemu rady nie da, Krzemionki bowiem w dnie świąteczne stają się mrowiem ludzkim Niemcy zniszczyli Krzemionki okrutnie: zabrali ogrodzenie zagajników, polanki poryli bunkrami, rowami, wejście do groty Twardowskiego obmurowali drzewek mnóstwo zniszczyli, trawniki wydeptali przy ćwiczeniach. Czy mamy teraz sami dokończyć dzieła zniszczenia?

---

1) »Chrońmy Przyrodę Ojczystą«.

Wydawnictwa nadesłane do Redakcji.

»Chrońmy Przyrodę Ojczystą«. Tymczasowy organ Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Rok III. Nr 1/2. Kraków, Ariańska 1.

Eliza Orzeszkowa, »Oblicze matki«. Wstępem opatrzył Bolesław Hryniewiecki. Odbitka z czasopisma »Nauka i Sztuka«.

Jan Sokołowski, »Zagajniki dla ptaków«. Państwowa Rada Ochrony Przyrody.

Jan Sokołowski, »Skrzynki dla ptaków«. Państwowa Rada Ochrony Przyrody.

»Z Otchłani Wieków«. Dwumiesięcznik poświęcony pradziejom Polski, organ Muzeum Przedhistorycznego i Instytutu Prehistorycznego Uniwersytetu Poznańskiego. Rok XV—1946 zeszyty 1—12. Rok XVI—1947 zeszyt 1—2. Poznań, Seweryna Mielżyńskiego 26.

»Życie Szkoły«. Miesięcznik poświęcony organizacji wychowania i nauczania. Rok II—1947 Nr 3. Toruń, ul. Bydgoska 8.

Nadesłane prace Kół.

Koło Uczniów Gimnazjum i Liceum w Bochni, nadesłało rysunki ozdób wykonanych na okuciach dyszli.

Koło Uczniów Szkoły Powszechnej w Goszczy, nadesłało kilka opracowań kwestionariusza: »Co wiemy«...

Zofia Pankówna, uczennica Gimnazjum im. Królowej Jadwig w Krakowie, opracowała starannie odpowiedzi na kwestionariusz: »Co wiemy«...

Prosimy o nadsyłanie prac i odpowiedzi na powyższy kwestionariusz, omówimy je, gdy otrzymamy większą ich ilość.

Wydawnictwa Komisji K. K. M. S.

Koła Krajoznawcze Młodzieży Szkolnej . . .	30 zł
Wieś Dobra, powiatu limanowskiego	100 „
Podegrodzie, zarys monografii wsi	70 „
Obóz krajoznawczy w Jurgowie	70 „

Kwestionariusze: Przyrodniczy. Prehistoryczny. Do opisu miasta. Do opisu zabytków sztuki. Do badań nad krajobrazem po 5 zł.

Ile mamy Kół?

Niestety nie mamy jeszcze dokładnego wykazu, zaznaczamy narazie, że w Krakowie mamy 33 Kół, a w Okręgu Krakowskim 12, w Okręgu Katowickim 28, w Okręgu Poznańskim 12, w Okręgu Pomorskim 8.

Prenumerata „Orlego Lotu".

Roczna prenumerata »Orlego Lotu« wynosi 150 zł, wpłacać ją należy tylko czekiem P. K. O. na konto: »Orli Lot«, Kraków IV-1411. Cena jednego podwójnego zeszytu wynosi 30 zł. Kołom zamawiającym najmniej 5 egz. oddajemy po cenie 20 zł za zeszyt. Wszystkie Koła prosimy o współpracę i o rozpowszechnianie »Orlego Lotu«.

Metodyczne Ognisko Krajoznawcze i Ośrodek Krajoznawczy
Kraków, Starowiślna 48. M-19712

Zarząd Główny Polsk. Towarzystwa Krajoznawczego
Warszawa, Smulikowskiego 6.

Wydaje: Polskie Towarz. Krajoznawcze. Redaktor Leopold Węgrzynowicz

Drukarnia „FORTUNA", Kraków, Lubicz 15. Telef. 552-87.